

ZADUMA

Błogosławiny sieroty

Wolno



Obróć się, Maryś, dokoła,
a czy jest tu twoja rodzina cała?

Są ci wszyscy, co trzeba,
jeno mi tatusia wzieni do nieba.

Są tu wszyscy, co trzeba,
jeno mi matusię wzieni do nieba.

A wstań ty, matko, wstań z grobu,
pobłogosław córce do ślubu.

A wstań ty, ojczy, wstań z grobu,
pobłogosław córce do ślubu.

Są ci tu ludzie na świecie,
co pobłogosławiają sierocie.

A gdyby ludzie nie chcieli,
to pobłogosławiają anieli.

Sierotom, we wsi na łaskawym chlebie żyjącym, śpiewajmy. Sierotom bez matusinej opieki, bez matusinej ręki, serca i... chleba. Sierotom bez ojcowego mocnego słowa, bez ojcowej roboty serdecznej na dziecińskim polu.

Sierotom, bez serca bratniego żyjącym, jeno w opiece Matusi Najświętszej będącym.

Sierotom, co przy matce i ojcu, w sercach swoich i pomyśleniu same są, opuszczone. Sierotom, dzieciom, matkom, ojcom, siostram, braciom, ukochanym, przyjaciółom, od których odeszli najdrożsi, jedyni.

Śpiewajmy ze starą, ojcową, cudną wiarą, prostą, jak proste jest dobre serce człowieka: w ludzką i Bożą Dobroć! w Boże i anielskie opiekuństwo, w ludzkie miłosierdzie, w Błogosławieństwa Boże – dla sierot i dla tych wszystkich, którzy sierotom kąć w izbie i łyżkę stawy, przytulenie w sercu i słowo Boże dać zechcą.

Piosenka smutna. Ale nie na to, aby płakać i uzalać się, i tęsknić jeno. Nie na to, aby krwawić serca sierot. Nie na to, aby dotykać ran. Jeno, aby krzepić.

Nie można jej „grać”. Trzeba się nam samym stać sierotą i ludźmi dobrymi i aniołami.



Nie będzie to zwyczajny teatr. Nie ma sceny.

Siedzimy w kole, w izbie w zaduszkowy dzień. W izbie, co pamiętała i babkę, i prababkę, i najstarszych dziadków naszych. W izbie, gdzie od lat pali się na kominie ogień i grzeje, i karmi, i skupia koło siebie Rodzinę. W izbie, gdzie modlono się przez długie lata o błogosławieństwo Boże.

Wspominamy tych drogich, tych jedynych, tych znajomych, sąsiadów... Jedni byli dobrzy, zostawili po sobie tyle, tyle pamięci w uczynkach z miłości płynących. Inni byli prędzej zapomniani!

Ale wszyscy – żyli. Żyli czynem, radością, nędzą, cierpieniem, męką. Żyli i kochali. Wszyscy. To kochanie łączyło i łączy, i łączyć będzie ludzi, dokąd żyć będą.

Młodzi chcą pokazać ojcom, co czują. Chcą pociechą serdeczną skrzepić wszyscyutki świat, starych, młodych, cierpiących. Przez łzy, przez poruszenie serc, do wspólnego czucia, do wiary.

Dziewczyna młoda, czuła, dobra. Sierota. I druga, przyjaciółka, bierze Marysię za rękę, wyprowadza ją na środek izby i śpiewa – sama. Śpiewa żałośnie. W tej pieśni nie bójmy się przesady w żałości. Tać to z żalosnych *Błogosławin* przed ślubem zawodzonych, płaczących wyjęta.

Obróć się, Maryś, dokoła,
a czy jest tu twoja rodzina cała?

Śpiewa wolno, dokoła poglądając. Marysia zrazu cichuteńko, potem żałośniej, silniej śpiewa o tym, że jej matusię i tatusia wzięli do nieba. Rączki żałośnie rozkłada, kołem je zatacza, załamuje. Sama już jest pośrodku ludzkiego koliska.

Aż wybucha – buntem! Woła rodziców na ziemię! Przyzywa, kochającym sercem nakazuje!

A wstań ty, matko, wstań z grobu

– woła rozdzierającym głosem, rękami podnosi jakby matusię z grobu, to znów w górę ręce wznosi, do duszy matczynej. Aż rozżalona, bolesna na kolana pada, głowę ramieniem osłania i o błogosławieństwo prosi:

pobłogosław córce do ślubu.

Tak samo do ojca woła, odbiega jeno w inną stronę, do tatusiowego grobu.

Ale rodzice nie wstają.

Kłęczy Maryś, złamana, samiuteńka. Boże – Boże sierot.

Wszyscy czujemy jedno: iść, rwać się ku niej! Utulić, matkę, ojca zastąpić. A delikatnie, a miękuchno, a nie zranić czym, broń Boże, cicho... cicho...

Cicho w izbie, w sercach...

Za oknami listopadowy wiaterek ścichł... Cicho... Czujemy jedno. Wstajemy bez szelestu prawie i idziemy, jak dobre ciche dusze nasze, ku jej sieroctwu. Już, już dotknąć jej mają miłosiernie ręce nasze. A idąc, śpiewamy, duchem raczej, w sobie jakby:

Są ci tu ludzie na świecie,
co pobłogosławią sierocie.

Nikt nie śmie zamącić ciszy. Stoimy.

Marysia, kłęcząca, główkę jeno uniosła, obraca ją wkoło, pogląda ku nam przez łązy, jakby pytała: ludzie! czego wy! co wy? – Rozumie, ramiona już wznosi, wtem... we drzwi do izby naszej prostej wchodzi prawdziwi, biali anieli Boży. Jeden ich wiedzie, za rękę się trzymających. U drzwi stanęli. Nie chcą przeszkadzać ludziom. Jeno żeby Maryś wiedziała, że jakby ludzie nie chcieli... to patrzy z nieba gwiazdny – Bóg. To spogląda na jej główkę jasną Matuchna Boża... To od Niej...

Śpiewają tak słodko, a tak cicho... Przyobiecują.

I poszli. Gospodyni podnosi Marysię i do ognia, do komina pociąga, do swoich dzieci. Co kto może, to mówi teraz: słowa pociechy, radości, jak kto może...

Bo i czegoż by się dziwować? Niecudne w chałupie anioły. A i sam Pan Jezus bo to po chałupach nie chodzi? Jeno po wielkich zamkach, pałacach dziwowali-by się ludzie temu cudowi, a i bali może.

My tu wierzymy wszyscy, od praojców, od dawien dawna, że Bóg sam jest prostych ludzi bratem.

Na drogę życia

Wolno



Na dro - gę ży - cia, wzię - łam trzy kwia - tki;
od przy - ja - ciół - ki, ko - chan - ka, mat - ki.
Po - my - śla - łam so - bie: pó - ki kwia - ty świe - że,
pó - ty mnie wszy - scy ko - cha - ją szcze - rze.

Na drogę życia wzięłam trzy kwiatki:

od przyjaciółki, kochanka i matki.

Pomyślałam sobie: póki kwiaty świeże,

póty mnie wszyscy kochają szczerze.

Najpierw mi uwiądnął kwiat przyjaciółki,

potem mi zwiędły kochanka ziela.

Tylko kwiaty matki pozostały świeże,

bo tylko matka kochała szczerze.

Dosyć zaśpiewać jeno tę piosenkę, bez nijakiego grania, a już widzi się jakby wyraźnie i dziewczynę młodą, pełną wiary w życie, i tych, co tej wiary dochować nie umieli, i matkę dobrą.

W samej piosence jest tyle treści życia, że grać ją trzeba jak najprościej, aby sztucznością, zbytecznym ruchem czy zbytecznym odtwarzaniem prawdy nie przyćmić uroku i rzewności pieśni.

Jak zwykle, przy śpiewie dziewczyny tło – gromada. W środku naprzód wysunięta – córka, wsparta na ramieniu matki. Przyjaciółka z jednej, chłopiec kochany z drugiej strony.

A teraz tylko jej śpiew, jej gra. Ona, dziewczyna, ma skupić oczy, myśli i serca ludzkie na sobie i na swoich uczuciach. Ludzie muszą wraz z nią wierzyć, współcierpieć przy zawodach i ukojenia na matczynym sercu szukać.

Żegna się z matką, bo oto z jej ramion idzie w świat. U niej to, w cieple jej serca zaznała przyjaźni towarzyszki i miłości wybranego chłopca. Teraz odchodzi od matki w życie.

Jakże to pokazać? Najprościej: w kilku krokach, w kilku ruchach.

Na drogę życia wzięłam trzy kwiatki...

– śpiewa, idąc ku przodowi wolno, a w wyciągniętych daleko przed siebie rękach trzyma kwiaty i pokazuje je ludziom, spokojnym ruchem.

...od przyjaciółki...

Teraz ku tej przyjaciółce podchodzi, rękę jedną lekko na ramieniu jej kładzie, miękko, faliście, i już ku kochankowi zwraca drugą rękę, śpiewając o nim, a potem do matki się odwraca i obie ręce wyciąga do niej, śpiewając ciepło i serdecznie:

...i matki.

Znowu teraz idzie dalej, jak gdyby w życie dalsze, po tym wspomnieniu, obejrzeniu się poza siebie na tych troje najbliższych.

Odeszła od nich w stronę ludzi, daleko.

W tej drodze właśnie poznała twardość życia, jego prawdę. Bo idąc, patrzyła miłośnie na te kwiaty wróżebne, i oto pierwszy zwiędnięty pada z jej rąk na ziemię.

Z żalem, szczerze i prosto oddanym, śpiewa jednocześnie z upadającym kwiatem, głowę tylko ku dziewczynie-przyjaciółce zwracając:

Najpierw mi uwiądnął kwiat przyjaciółki...

W tym samym czasie przyjaciółka wolno, wolniutko obraca się w tył i odchodzi. Ten sam ruch, ale głębszy jeszcze ból, kiedy kochanek zdradny odchodzi i kwiat jego pada zwiędnięty.

Tylko kwiaty matki pozostały świeże...

Z rzewnością, bólem i miłością obraca się cała ku matce, cicho, w czekaniu stojącej, biegnie i usuwa się na kolana, a matka tuli, do serca tuli...

A już cała gromada cicho, a coraz głos podnosząc i ścisząc, w końcu śpiewa:

...bo tylko matka kochała szczerze.

Obrazek ostatni wdzięczny być musi, serdeczny. Matka w uścisku z córką, a dziewczęta głowy do siebie też tulą, w półwolnym wianku.

Piosenkę tę opisałam tak szczegółowo i dokładnie, dlatego że jest w niej za mało czynności, a za wiele przeskoków w uczuciach, wiem, iż ten rodzaj pieśni trudny jest do oddania w scenie. Udaje się rzecz albo za prosto, albo zbyt pretensjonalnie.

O ten umiar chodziło mi, bo prostota pieśni i jej rzewność, tak właśnie oddane, robią silne wrażenie i należy ona do tych, które się najwięcej podobają i najszczerzej wzruszają.